

Podcast *Finanse bardzo osobiste*, odcinek 23

Data publikacji: 2016-05-19

link do opisu na blogu: <http://marciniwuc.com/fbo-023/>

FBO 023: Realizacja marzeń za rozsądne pieniądze Rozmowa z Marcinem Zarzeckim, który odwiedził już ponad 100 krajów

Cześć! Witam Was bardzo serdecznie w dwudziestym trzecim odcinku podcastu *Finanse bardzo osobiste*. Dzisiejszy odcinek, dzisiejsza rozmowa będą bardzo, bardzo wakacyjne. Minęła połowa maja, wakacje tuż-tuż, a jak wakacje – to podróże. A jak podróże, to... nie wiem jak dla Was, ale dla mnie podróże to jest najlepszy smak życia. Już w podstawówce natknąłem się na takie bardzo fajne książki Alfreda Szklarskiego o przygodach Tomka – tam był *Tomek w krainie kangurów*, *Tomek na wojennej ścieżce*, *Tomek na Czarnym Lądzie*, *Tomek na tropach Yeti* itd., itd. To były moje ukochane, ulubione książki, które rozbudziły we mnie ogromny apetyt na podróżowanie.

I dzisiaj, kiedy jestem już starym bykiem, bardzo konsekwentnie staram się ten apetyt zaspokajać i realizować swoje kolejne marzenia związane z podróżami. Jakiś czas temu pisałem trochę o wyjeździe na Madagaskar. W tym roku dopiero w listopadzie szykuje się dłuższa podróż, ale też zapowiada się bardzo ciekawie. Tym razem będzie to Tybet, w którym, mam nadzieję, spędzę nieco mniej czasu niż bohater filmu *Siedem lat w Tybecie*.

Ale tak jak lubię podróżować, tak samo – pewnie się tego domyślacie – nie lubię niepotrzebnie wydawać na podróże zbyt dużych ilości pieniędzy. I właśnie o konsekwentnym realizowaniu marzeń o podróżach, ale robieniu tego za rozsądne pieniądze, rozmawiam z moim dzisiejszym gościem.

Poczujcie tę atmosferę wakacji, serdecznie zapraszam Was do audycji!

Moim gościem jest dzisiaj Marcin Zarzecki – człowiek, który konsekwentnie realizuje swoje cele i marzenia, ale jednocześnie podchodzi do tego naprawdę z dużym dystansem. Odwiedził ponad 100 krajów na całym świecie, ale nie pozwala mi na to, żebym mówił o nim „podróżnik”. Prawda, Marcin?

Tak, to prawda.

Cześć, witam cię bardzo serdecznie!

Cześć, Marcin, i witam wszystkich słuchaczy i czytelników.

Dziękuję, że przyjąłeś zaproszenie do rozmowy, i od razu poproszę Cię, żebyś powiedział trochę więcej o sobie.

Mam 36 lat, 15 z nich przepracowałem głównie w korporacjach – dość typowo. Natomiast może nietypowe jest to, że dwa lata pracowałem w Kenii w ramach kontraktu z jedną z firm. Teraz rozwijam własną firmę informatyczną i mniej więcej 20 lat już podróżuję po świecie, bo lubię.

No właśnie – tak jak wspomnieliśmy, już ponad 100 krajów na twojej liście. Tych podróży naprawdę dużo, a ty ciągle konsekwentnie mówisz: „Nie jestem podróżnikiem”. Dlaczego?

Tak, „100 krajów” to brzmi dumnie dla niektórych. Dla mnie pewnie też. Natomiast podróżnik dla mnie to jest ktoś, kto zawodowo zajmuje się podróżowaniem, udziela się w mediach, pisze książki, pisze bloga, chodzi na konferencje podróżnicze, czasami trochę się pompuje tym podróżowaniem. A ja podchodzę do tego trochę inaczej: jest to ważna część mojego życia, ale nie jest najważniejsza. Po prostu lubię to robić. I robię to rozsądnie, przy okazji dość często, natomiast to nie jest cel sam w sobie. I absolutnie nie propaguję takiego podróżowania à la podróżnik typu „koniecznie trzeba zjeść posiłek z lokalnym plemieniem, wypalić fajkę albo dokonać czegoś ekstremalnego”. Więc podróżowanie rozsądne, dostępne dla każdego.

No dobra, czyli pracujesz, rozwijasz swoją firmę, a podróżowanie to bardziej taka odskocznia – tak możemy powiedzieć?

Też nie. To jest część mojego życia, która była, jest i będzie.

Co daje ci podróżowanie? Dlaczego to robisz?

Powodów jest kilka. Jest to na pewno odskocznia od tego, co jest w Polsce, ale nie dlatego że trzeba stąd uciekać czy się resetować. Dla mnie jest to naturalna kolej rzeczy. Taka podróż to nie jest odnajdywanie siebie albo uciekanie od czegoś. To jest oglądanie świata, nabieranie dysonansu, na pewno też nabieranie pewności siebie, jakiejś oglądy – to przychodzi z czasem, naturalnie. Ale jeżeli ktoś chce sprzedać lodówkę i ruszyć w świat za marzeniami, to nie jest mój model. Ja uważam, że podróżować można, zresztą każde hobby można uskutecznić, ale wtedy kiedy jest to rozsądne i z głową i nie rujnuje całego pozostałego życia.

Dzisiaj dużo porozmawiamy o tym, ile kosztują podróże i jak można tak je zorganizować, żeby nie wydać na nie fortuny. Ale zanim przejdziemy do takich rzeczy, opowiedz trochę więcej o swoich podróżach. Jaka była np. najbardziej egzotyczna?

Najbardziej egzotyczna to była podróż przez Afrykę Wschodnią i Południową autobusem i pociągiem. To było kilkanaście krajów, może je wymienię, bo to pokazuje skalę, że to była dosyć duża wycieczka: z Kenii przez Ugandę, Rwandę, Burundi, Tanzanię, Malawi, Zambię, Zimbabwe, Botswanę, Namibię, RPA, Lesotho, Suazi, Mozambik. O, te kraje, chyba nie pominąłem żadnego.

Czyli odrobinę inna Afryka niż standardowe Egipt, Tunezja?

No tak, inna. Ja jestem związany z tą Afryką także zawodowo. Jak mówiłem wcześniej, dwa lata pracowałem w Kenii, więc pewnie trochę łatwiej było mi się poruszać na tym kontynencie, bo ma swoje smaczki, specyfikę i urok, ale to trwało kilka miesięcy, bodajże trzy i pół. Przez ten czas ok. 20 000 km pokonałem lądem.

Będziemy jeszcze opowiadać o różnych twoich przygodach w czasie tych podróży, ale chciałem zapytać cię o coś innego. Bo na liście twoich podróży są takie dwie naprawdę długie. Ty określasz je mianem „miniemerytury”. Opowiesz więcej o tej koncepcji?

Tak, opowiem, ale pozwól, że powiem o pewnej ewolucji mojego podróżowania. Na początku podróżowałem, nazwijmy to, typowo: krótko, tydzień-dwa, typowy urlop, wypad z plecakiem. Często organizowałem wyjazdy trzydniowe, tzw. city break. Potem, w 2005 r., wyjechałem na dwa lata na kontrakt do Kenii i to był mój pierwszy taki długi okres poza Polską, kiedy zauważyłem, że zupełnie inaczej postrzega się świat, kraj czy region, w którym się jest, będąc tam dłużej, żyjąc trochę na miejscu jak miejscowi ludzie. I właściwie to wtedy poczułem, że chciałbym pobycić dłużej czy w Afryce, czy w innych miejscach. Więc to były dwa lata kontraktu, może nie miniemerytura, bo to była praca, ale też w tym czasie bardzo dużo zwiedzałem Afryki Wschodniej – i sam, i ze znajomymi czy rodziną, która przyjeżdżała. Potem wróciłem do Europy, normalne urlopy, 2-3 tygodnie, ale przyszedł ten czas w 2011 r., że zdecydowałem się na pierwszą miniemeryturę...

No właśnie – co to jest „miniemerytura” w ustach 36-letniego człowieka? To brzmi przerażająco.

To nie jest przerażające, w żadnym wypadku! Koncepcja miniemerytury chyba tak została nazwana przez Tima Ferrissa. To jest amerykański przedsiębiorca, autor...

Autor książki 4-godzinny tydzień pracy.

Tak. On ma zresztą dużo różnych pomysłów na życie. Niektóre lepsze, niektóre gorsze, niektóre kontrowersyjne. Natomiast ja propaguje taki model życia i pracy, aby co kilka lat fundować sobie taką miniemeryturę, nie czekać z podróżami na sześćdziesiątkę czy siedemdziesiątkę – wtedy może być za późno – tylko tak pracować, tak organizować sobie życie zawodowe, by móc podróżować wcześniej.

I to pod wpływem Tima Ferrissa zacząłeś wprowadzać w życie swoją koncepcję miniemerytury?

Nie, tak nie było. Bo ja książkę przeczytałem już po swojej pierwszej miniemeryturze i, o dziwo, nie tylko on na to wpadł, tylko ja, nie nazywając tego akurat w ten sposób. Ale już po tej pierwszej wiedziałem, że jest to coś, co bardzo mi się podobało, więc znowu popracowałem kilka lat i w zeszłym roku odbyłem kolejną podróż, miniemeryturę. To było dziewięć miesięcy po Azji Południowo-Wschodniej.

I właśnie o tej twojej podróży porozmawiamy szczególnie dokładnie. To, co nas łączy, poza zamiłowaniem do podróżowania – ja również podróże absolutnie uwielbiam – to jest bardzo skrupulatne podejście do monitorowania wydatków, analizowania finansów. Przyniosłeś ze sobą wydruk z Excela z zestawianiem wszystkich wydatków z twojej 9-miesięcznej wyprawy. Tam było 250 noclegów, 22 przeloty samolotem, odwiedzonych 11 krajów, a koszt wyniósł – ile?

To zależy, jak to liczyć: czy na dzień, czy na osobę, czy na cały okres.

Na dzień i na osobę.

Cała podróż, łącznie z przygotowaniem, zakupem biletów do i z Azji, laptopem, imprezami pożegnalnymi, nurkowaniem, ubraniami po drodze – słowem: wszystko, co można było włączyć, włączyliśmy – to wyszło 133 zł na osobę na dzień przy dwóch osobach podróżujących.

Czyli mniej, niż kosztuje przeciętny nocleg w większości miejsc. A odwiedziliście, przypomnę, 11 krajów, w sumie było 250 noclegów i 22 przeloty samolotem. To jak udało wam się to zrobić?

Mówisz „wam”, bo podróżowałem z dziewczyną – w dwie osoby.

Tak, i nie mówimy tu o podróżowaniu z dziećmi, co oczywiście też trzeba wziąć pod uwagę. Jakie kraje odwiedziliście?

Malezja, Tajlandia, Indonezja, Filipiny, Wietnam, Singapur, Kambodża, Birma, Laos, Brunei i Korea Płd.

Marcin wymienia, w ogóle nie patrząc na żadną kartkę! Opowiesz jeszcze trochę o tej podróży, zanim przejdziemy do tych liczb?

Ja w Azji Południowo-Wschodniej byłem kilka razy, ale nigdy nie byłem dłużej i mnie tam ciągnęło, też ze względów rodzinnych, plus moja dziewczyna, z którą podróżowałem, miała takie marzenie, żeby pomieszkać chwilę na Bali w Indonezji. Więc zaplanowaliśmy ten wyjazd wspólnie i na pewno nie żałujemy. I powiem Wam, że zdecydowałem się na ten wywiad u Marcina ze względu na to, żeby pokazać, że taka podróż jest dostępna – przy odpowiedniemu planowaniu – dla wielu z Was.

Bardzo wiele osób marzy i na tym poprzestaje: nie realizują tych marzeń albo odwołują je w nieskończoność. Ty jesteś przykładem człowieka, który – tak jak wspominałeś – prowadzi normalne życie, pracował w korporacji, dopiero teraz rozwijasz własną firmę, ale tak naprawdę pokazujesz, że w zasięgu każdej osoby jest taka niesamowita podróż i ta miniemerytura.

Myślę, że tak, a Azja Południowo-Wschodnia to jest akurat ten region świata, w którym stosunkowo łatwo to przeprowadzić.

Dlaczego łatwo?

Jest to region pod wieloma względami bardzo przyjazny, stosunkowo bezpieczny, tani, z rozwiniętą infrastrukturą, przynajmniej w zakresie podstawowym, przepiękna przyroda. Pogoda też jest przeważnie dobra. Więc to jest taki region, w którym warto zaczynać. Ja też byłem wcześniej na miniemeryturze w Afryce – tam jest bardziej hardcore’owo i jako pierwszy raz bym nie polecał. Ale też się da. Nie jest to tak trudne, jak się wydaje.

OK, czyli taka podróż na 9 miesięcy do Azji, 133 zł, czyli 36 000 zł na całą podróż za osobę.

Tak. Tylko chciałem tutaj podkreślić, że liczyliśmy wszystko, tzn. wszystkie wydatki na miejscu – nie zawsze najtańsze, o tym też będę mówił. To wcale nie oznacza podróżowania najtaniej, ze spaniem byle gdzie, jedzeniem byle czego. Absolutnie tak nie było. I gdyby najtaniej chcieć podróżować – może mniej intensywnie i w trochę gorszych warunkach spać i jeść – to spokojnie koszt mógłby spać o 50%. Jestem przekonany, że poniżej 20 000 zł podróż 9-miesięczna na dwie osoby jest możliwa.

No dobrze, to weźmy na warsztat poszczególne składowe kosztów takiej podróży. Ale zacznijmy od takiego wstępu: samodzielnie czy z biurem podróży?

Tak długa podróż z biurem podróży nie jest pewnie w ogóle możliwa. A gdyby była, to byłaby prawnie bardzo droga.

Ale jakie w ogóle masz nastawienie do tego: podróżowanie samodzielnie czy z biurem podróży?

No chyba nie będzie zaskoczeniem, gdy powiem, że samodzielnie, ale nie jestem jakimś radykałem albo purystą podróżniczym i nie powiem, że nigdy nie wsiądę do czarteru albo nie pojadę – jak to moja ciocia mówi – na „allclusing”, bo też się zdarzyło. Natomiast bardziej smakują podróże samodzielne.

A jeżeli jedziemy na wyjazd zorganizowany do hotelu, to też można, tylko trzeba liczyć się z konsekwencjami, dobrymi i złymi. Dobrze będzie to, że będzie to dosyć proste, może być też tanie, jeżeli kupimy w ofercie last minutę. Ja kiedyś korzystałem i byłem w Kenii za 2000 zł z wyżywieniem na tydzień, bezpośredni przelot z Warszawy.

Ale wtedy lecimy z tzw. turystami czarterowymi, którzy są ciut inni niż turyści liniowi: czy Murzyn czy Masaj śpiewający przy kolacji „Szła dziewczeczka do laseczka” jest atrakcyjny, to sami oceńcie.

Rozumiem, że szukasz zupełnie innych doświadczeń.

Ale jeszcze raz: nie jestem żadnym purystą, radykałem. Jeżeli chcemy słońca, odpoczynku, trochę egzotyki, to jak najbardziej.

Skoro samodzielnie, to trzeba się do takiej podróży odpowiednio przygotować. Chciałbym, żebyśmy mówili o takiej większej wyprawie, chociaż ty się krzywisz, gdy nazywam to wyprawą, mówisz, że to była po prostu podróż.

Tak.

Więc kiedy przygotowujemy się do takiej podróży, ile to zajmuje czasu i co trzeba zrobić, żeby się dobrze przygotować?

Ja, mimo że się bronię przed tą łątką podróżnika, to mam doświadczenie już nastoletnie, kilkaset lotów i ponad 100 krajów, więc moje przygotowania pewnie nie są standardowe jak u kogoś, kto dopiero próbuje i będzie leciał pierwszy raz. Ja musiałbym sobie przypomnieć, jak to wyglądało 15 lat temu, ale mimo wszystko bym radził, żeby nie planować za wiele. Ja zawsze planuję ten pierwszy rok, czyli bilet, bo przy odpowiednim planowaniu on może zaoszczędzić dużo pieniędzy, a potem, co już na miejscu – to jak wyjdzie albo jak poczuje, że w tę czy inną stronę pojechać. Oczywiście, pewien plan ramowy jest. Nie wyobrażam sobie pojechać do Paryża i nie zobaczyć Wieży Eiffla albo do Kambodży i nie zobaczyć Angkor Wat. To jest jasna sprawa. Ale potem, co już dookoła, to się okazuje na miejscu.

Czyli nie bierzesz ze sobą szczegółowego planu, co dzień po dniu będziecie oglądać?

Nie, nie robię planów i to ma swoje także złe, ale moim zdaniem więcej dobrych stron. Ja lubię po prostu patrzeć, co życie przyniesie, reagować trochę instynktownie. Również dzięki temu, że nie mamy sztywnego planu, nie trzymamy się utartych ścieżek, przewodnikowych, można też trochę zobaczyć, zjechać, zostać dłużej lub krócej i zobaczyć inaczej.

Jak wiele czasu i wysiłku kosztują cię dzisiaj przygotowania do takiej wyprawy?

Zdaję sobie sprawę, że nie jestem typowym w tym, ale w tej chwili przygotowania w ogóle nie zajmują mi czasu. Po prostu nie planuję. Kupuję tylko bilet, a reszta jest w trakcie: albo w samolocie...

Czyli co, zabierasz bilet, kartę kredytową i...

Tak, bilet i kartę kredytową.

Ale musisz mieć przynajmniej listę państw, które chcesz odwiedzić, wizę, inne procedury...

No, wiesz, nie, nie. Jeżeli jadę na 2-3 tygodnie, to wiadomo, że wiem, gdzie jadę, i nie będę kombinował. Ale gdy jechałem na dziewięć miesięcy, to bilet był w jedną stronę, nie było biletu powrotnego.

Czyli tylko przelot z...?

Z Warszawy do Bangkoku. Wiedziałem, że wracam w sierpniu. Akurat tak się dobrze podróżowało, że wróciłem w listopadzie, choć plan był na sierpień. W międzyczasie mieliśmy plan jechać do Australii, ale stwierdziliśmy, że w Azji jest tak ciekawie i ładnie, że nie ma sensu. Kiedy indziej pojedziemy.

Czyli faktycznie ogromna doza spontaniczności w tej podróży.

Tak, ale to spontaniczność wynikająca z jakiegoś doświadczenia i tego, że nie warto planować, bo po drodze może się okazać dużo ciekawych, fajnych rzeczy. Jak się w Azji okazało, że Bali tak się nam spodobało, to zamiast pojechać do Australii, pojechalismy jeszcze raz na Bali i tam spędziliśmy kolejny miesiąc.

Jasne. Ale musisz się spakować, musisz zabrać odpowiednie rzeczy, odpowiedni sprzęt, jakąś apteczkę. No każdemu te przygotowania kojarzą się z dużym wysiłkiem.

Więc tutaj też będę namawiał, żeby jak najmniej tego wysiłku było. Ja mam może nie spakowany, ale przygotowany plecak – to jest plecak 40-litrowy. Bagaż podręczny to jest podstawa: mały...

Czyli w ogóle nie zabierasz ze sobą takiego bagażu, który nadaje się na lotnisku?

Nie, nie. Im dalsza podróż, im dłuższa, tym mniej bagażu tak naprawdę.

To ma też ten plus, że wtedy taniej i łatwiej podróżować na miejscu, prawda?

Tak. A ja jestem w miarę wysoki, moja dziewczyna też jest wysoka, ale generalnie i ona, i ja spakowaliśmy się w małe plecaki: ja 40, ona – 30 litrów. I jeszcze po drodze w Malezji trochę oddaliśmy rzeczy znajomym, bo się okazało, że mamy tego trochę za dużo. Podróżowanie z małym plecakiem ma same zalety i nie ma praktycznie żadnych wad. Bo, po pierwsze, nie ma go jak zagubić czy podziać, bo to jest jeden bag, który zawsze masz. Nie musisz czekać, kiedy przyjedzie czy przyleci ten bagaż nadawany. Po drugie: jest lżej. Trzy: taniej, bo w niektórych liniach lotniczych nadawanie bagażu kosztuje. Liczyłem, że mniej więcej 500 razy zmienialiśmy środek transportu, więc wyobraźmy sobie, co by było, gdybyśmy mieli trzy tobołki. A przykład z życia wzięty: mieliśmy na początku właśnie trzy tobołki: ja – swój plecak, dziewczyna – swój plecak

i jeszcze w takim małym worku buty. Po trzech dniach butów już nie było, bo zostały w jakimś autobusie. Na miejscu kupiliśmy nowe, mniejsze, które weszły do plecaka.

No dobrze, czyli jak najmniejszy bagaż, jak najprostsze przygotowania.

Ale chcę powiedzieć o czymś, co ważne, tj. przygotowanie na stałe, na wszystkie podróże. To jest telefon z podwójną kartą SIM bądź drugi telefon na drugą kartę SIM, bo wtedy nie trzeba martwić się o roaming ani o to, czy będzie internet, Wi-Fi, bo absolutnie w każdym kraju, może poza Koreą Płn., jest sieć GSM, LTE czy jakaś inna, karty są tanie, więc warto zawnocześnie pomyśleć, żeby mieć taki telefon.

Albo zabrać ze sobą drugi, żeby zawsze móc na miejscu kupić lokalną kartę SIM.

Tak.

OK, bo jest taniej, jeśli chodzi o internet, rozmowy, o wszystkie inne rzeczy i nie ponosimy kosztów roamingu.

Tak, więc moje przygotowanie jest takie, że mam plecak, kosmetyczka jest zawsze w miarę spakowana, bo też zawsze jest ta sama, jeżeli jadę do Gdyni czy Krakowa służbowo, telefon na dwie karty.

Przejdźmy teraz, Marcinie, do kosztów. Głównym, pierwszym i podstawowym jest koszt przelotu, jeżeli mówimy o dalszej podróży. W jaki sposób ty się do tego przygotowujesz? Co robisz, aby nie było za drogo, i co mógłbyś nam poradzić?

Stron o tanim podróżowaniu jest bardzo dużo. Jeśli ktoś się zainteresuje tematem, sugeruję po prostu poszukać. Ja mogę polecić dwie strony, z których najczęściej korzystam – to są takie inspiracje podróżnicze: Flyforfree.pl oraz Loter.pl. To są portale, które wyszukują różne okazje w różne części świata i ceny są naprawdę zaskakujące. Jeżeli ktoś tego nigdy nie widział, to się bardzo zdziwi, jak tanio można polecieć na drugi koniec świata.

No właśnie, co to znaczy „dobra cena biletu lotniczego”?

Ja, mając elastyczność czasową, nie zapłaciłbym więcej niż 500 zł za lot w obie strony; do Azji, Afryki, Ameryki Południowej i Północnej – 2000 zł; do Australii – 3000 zł, a podróż dookoła świata – 4000 zł. Uważam, że to są ceny przyzwoite.

OK, tylko tutaj ważna jest ta elastyczność czasowa, o której wspominałeś.

Oczywiście, bo mając dokładnie dwa tygodnie od piątku trzynastego do piątku za dwa tygodnie i jeśli koniecznie chcemy lecieć do Bangkoku albo Delhi i tylko w tych datach, to wtedy możemy znaleźć ceny znacznie, znacznie wyższe. Ale mając kilka dni różnicy w prawo, w lewo, na pewno możemy zapłacić znacznie, znacznie mniej.

Zwracałeś mi też uwagę, jak rozmawialiśmy przed podcastem, że warto wykorzystać przesiadki, czyli ten klasyczny *stopover*. Może się okazać, że bezpośredni lot jest bardzo drogi, ale taki, który wiąże się z kilkoma przesiadkami, może być kilkukrotnie tańszy. I ty mówisz, że to jest dobra opcja, bo te przesiadki można też nieźle wykorzystać.

Tak, jak najbardziej. Uważam, że przesiadki są moim sprzymierzeńcem. Po pierwsze mogę obejrzeć jakieś miasto po drodze – albo na kilka godzin, albo nawet na kilka dni, jeżeli tak ułożę podróż. Po drugie, nawet jeżeli tak nie da się zwiedzać, bo potrzebna jest wiza bądź jest za mało czasu, to można poczytać książkę, posłuchać audiobooka albo po prostu popatrzeć, jak wygląda lotnisko i ludzie na nim. A rzeczywiście można zaoszczędzić bardzo duże pieniądze. Na przykład w podróży do Nowej Zelandii lecieliśmy w trzy osoby i najpierw zabukowaliśmy bilet do Stambułu. Tam byliśmy cztery czy pięć dni. Następnie ze Stambułu do Sydney z przesiadką w Abu Dhabi. W Sydney też byliśmy chwilę, niedługo, ale wystarczyło, żeby zobaczyć miasto i operę. A potem z Sydney do Nowej Zelandii, do Auckland. Te bilety kosztowały 3500 zł i były znacznie tańsze niż jakkolwiek bilet kupiony bezpośrednio, Warszawa–Auckland. Nie mówimy o locie bezpośrednio, ale o cenach biletów – one kosztowały ponad 5000 zł w tym okresie.

Inny przykład: mój brat leci z Nairobi do Kenii, kiedy ja tam mieszkałem, i zamiast kupić bilet Warszawa–Nairobi, tak jak większość ludzi pewnie robi, on zabukował Kraków–Hurghada w Egipcie, spędził tam tydzień w hotelu „allclusing”, ale dogadał się z operatorem, że wróci za sześć tygodni, i wtedy wziął lokalny samolot egipski, poleciał do Addis Abeby, zobaczył chwilę Etiopię, przyleciał do Kenii, i tak samo wrócił. I to kosztowało mniej niż jakkolwiek bilet bezpośredni w tamtym w czasie do Nairobi.

No dobra, czyli faktycznie *stopover* to nie jest stracony czas, tylko czas, który można fajnie wykorzystać, oczywiście jeżeli dysponujemy dłuższym urlopem albo jesteśmy na takiej miniemeryturze – to zresztą koncepcja, która coraz bardziej mi się podoba. Ile w trakcie tej 9-miesięcznej podróży wydaliście na same loty – na te 22 przeloty?

Mam to zanotowane. Bilet do Azji i z powrotem kosztował 1900 zł. Natomiast transport lotniczy w Azji to były 3053 zł.

Czyli w sumie wszystkie bilety kosztowały was...

No, powiedzmy: 5000 zł, ale to jest do, z i w trakcie. W Azji średnia cena lotu to było 161 zł. Najtańszy lot: 34 zł.

No proszę, czyli faktycznie można podróżować na duże odległości za niewielkie pieniądze.

Tak. Lot za 34 zł to był lot na Borneo, z Kotaki... na Tawau – malezyjską część wyspy.

Jak już dolecimy na miejsce, to musimy się jeszcze jakoś przemieszczać po tych krajach, czyli wchodzi w grę koszty transportu na miejscu. Jakich porad tutaj mógłbyś nam udzielić?

Jeżeli jedziemy do Azji Południowo-Wschodniej, to pewnie koniecznością będzie podróżowanie samolotami, o czym już trochę mówiliśmy. I tak jak u nas jest Ryanair, Wizz Air, tak tutaj są AirAisa. Tanie linie lotnicze są w każdej części świata. Tak jak w Europie 500 zł za lot w dwie strony, tak myślę, że tak samo w Azji 500 czy 250 za lot to jest maks, jaki można wydać. Ale też na miejscu przemieszczamy się na mniejsze dystanse i ja jestem wielkim zwolennikiem transportu publicznego. Ma kilka zalet. Po pierwsze jest dostępny, jest też tani, ale pozwala zbliżyć się do mieszkańców. Tutaj absolutnie nie roszczę sobie praw do mówienia, że poznałem tych mieszkańców, ale jesteśmy troszeczkę bliżej ich.

Możemy obserwować ich w codziennych, normalnych sytuacjach.

Tak, wychodzimy na postojach z autobusów, zjemy bułkę czy banana na jakimś ryneczku, wypijemy kawkę tak jak oni. Dlatego mówię: nie kreujemy się na jakichś podróżników, znawców kultur, bo tak nie jest i daleko mi do tego, ale jest to na pewno lepsze niż podróżowanie klimatyzowanym autobusem z przyciemnianymi szybami, który wiezie turystów z miejsca na miejsce. Wtedy tego lokalnego życia za wiele nie widać.

Podaj jakieś przykłady takiego niestandardowego przemieszczania się.

Dużo, dużo tego było. W Azji najfajniejsze były tzw. jeepneye na Filipinach.

Co to jest?

Jeepney to jest przerobiony amerykański samochód terenowy z dobudowaną paką z tyłu, taki minibus. One często są przepełnione, a nawet jak nie są, to ludzie lubią jeździć na dachach. I my też jeździliśmy na dachach. Szczególnie w górach jest to piękne, niesamowite przeżycie, bo inaczej świat wygląda z dachu autobusu. Tak że warto, warto próbować. Lokalni tak jeżdżą i fajnie było.

W innych krajach może to być coś innego. W Rwandzie i Ugandzie jest taka instytucja boda boda – to są młodzi goście na rowerach, jeżdżący po mieście. Trzeba na nich machnąć lub poklepać po plecach. Za parę złotych szybko przewiozą z miejsca na miejsce. W Kenii z kolei to jest matatu – lokalny minibus, który ze stroboskopami i głośno muzyką często jeździ.

Tak. Widziałem nawet taką grę na telefon – jak „Angry Birds”, nazywa się „Angry Matatu Driver”. Rozjeżdża się tymi matatu ludzi.

Tak, matatu jeżdżą dosyć kontrowersyjnie.

Tak jest, też miałam okazję odwiedzić Kenię i widziałem matatu, choć nie jechałem nim. Niektóre osoby podają takie porady, że można zaoszczędzić na noclegu, kupując np. nocny bilet na przejazd wewnątrz jakiegoś kraju. Co o tym myślisz?

Myszę, że jest to bardzo dobry pomysł, ale tylko w tych krajach, w których koszt noclegu jest istotny. Ja byłem np. w Norwegii – to była moja pierwsza podróż. Miałem 17 lat, wyjechaliśmy z dwoma kolegami. Mieliśmy tzw. bilet Interrail i tak dobieraliśmy przyjazdy, żeby jeździć w nocy, bo Norwegia w ogóle jest droga, a w tamtych czasach dla ludzi z liceum była zupełnie droga. Więc w drogich krajach na pewno to się opłaca, natomiast w Azji, gdzie cena noclegu jest niska, nie jest to aż takie ważne. Ja korzystałem z tego w Wietnamie, ale bardziej ze względu na czas niż na koszty. Po prostu chciałem się gdzieś przemieścić i rano być na miejscu, a nie cały dzień w podróży. Ale jak najbardziej można tak kombinować.

Jeszcze chciałem powiedzieć o jednym odkryciu zeszłego sezonu, czyli skutery w Azji. Ja do tej pory nie jeździłem na skuterach, a okazuje się, że...

To jest wyzwanie w Sajgonie na skuterze, wymaga ogromnej odwagi!

Tak. Ale ja mówię generalnie o całym regionie. To jest bardzo popularny środek transportu. W miastach pewnie bardziej niebezpieczny niż na wsiach, ale koszty są bardzo, bardzo niskie.

Mówisz o kupnie takiego skutera czy wypożyczeniu?

O wypożyczeniu. Podam przykład: kiedy wynajmowałem na Bali skuter na cały miesiąc – bardzo porządny pojazd: Honda ... – kosztował, uwaga, 7 zł na dwie osoby. Dzieląc na dwie osoby, to jest 3,5 zł! Benzyna jest dwa razy tańsza niż u nas, więc koszt podróży takim skuterem był żaden. Myśmy jeździli kilkaset, jak nie więcej, kilometrów tym skuterem, zwiedzając wyspę, wjeżdżając w różne zakamarki. No wspaniała przygoda, bo można się zatrzymać, gdzie się chce, wjechać tu i tam, nie jest się zależnym od nikogo, nic to nie kosztuje, świat wygląda pięknie. Nawet w innych krajach koszt wypożyczenia skutera to jest 20–30 zł. Na dwie osoby to jest naprawdę nic. U nas pewnie kawka w Coffeeheaven kosztuje więcej niż ten skuter.

Już nie ma Coffeeheaven – zostało przejęte przez Costa Coffee.

Aha. Po kawiarniach nie chodzę, nie wiem.

Mamy już omówione koszty transportu i sposoby...

I jest jeszcze jedna rzecz: niektórzy lubią jeździć autostopem.

A co ty o tym myślisz?

Myślę, że to bardziej sposób na życie niż konieczność. Znam osoby, które dojechały autostopem z Polski do Singapuru. Bo taki miały plan. Ja jestem daleki od takich ekstrawagancji, by udowodnić coś sobie i jechać np. rowerem, chociaż lubię to robić. Też jeździłem autostopem, ale teraz stanąłbym na drodze i pomachał tylko wtedy, gdyby nic nie jechało, a trzeba byłoby się gdzieś dostać.

Czyli jednak transport publiczny i skuter, a autostop gdzieś na trzecim miejscu.

Tak, aczkolwiek przypomniła mi się sytuacja, śmieszna chyba, w jednym kraju, konkretnie w Botswanie, która jest trzy razy większa od Polski, a mieszka tam 1–1,5 mln ludzi. Jest tam transport, ale kursy są rzadko. Stałem na drodze i czekałem, machałem ręką. W końcu zatrzymał się człowiek w kombi i zapytał mnie, czy mam prawo jazdy i czy umiem jeździć. Odpowiedziałem, że tak, a on na to, że bardzo dobrze. Okazało się, że wracał z imprezy, był zupełnie pijany i dobrze mu się złożyło, że mnie spotkał.

Uratowałeś go...

Tak, poszedł spać, a ja jechałem przez Botswanę – omijając słonie, bo jest ich tam dużo.

Przejdźmy teraz do noclegów, bo to jest zwykle poważny koszt. Nawet osoby, które samodzielnie organizują sobie podróże, starają się je wcześniej starannie zabukować. Ty masz inne podejście. Powiedz, jak to robisz, z jakich serwisów korzystasz, co się sprawdziło w waszym przypadku, żeby zoptymalizować koszty noclegów.

Ameryki nie odkryję – wielu słuchaczy i czytelników zna takie serwisy jak Agoda.com, Booking.com.

Agoda.com przydaje się zwłaszcza w przypadku Azji.

Tak, w Azji to bardziej popularny serwis. Tam dokonuję pierwszej selekcji, żeby zobaczyć, po ile chodzą kwatery. Prawie w każdym azjatyckim kraju jest bardzo dobry stosunek jakości do ceny – 100 zł to już jest naprawdę wypas. Dwa kraje, w których byliśmy, czyli Singapur i Korea, są droższe, ale to wyjątki. Te serwisy to pierwsze źródło informacji i inspiracji.

Czyli wchodzisz na serwis Agoda.com, wybierasz hotel i wykupujesz noclegi na cały okres pobytu?

Nie, bo nie wiem, czy spodoba mi się w tym miejscu, w tym hotelu. Dlatego wykupuję nocleg na jedną lub dwie doby i potem, już tam będąc, albo przedłużam pobyt, albo negocjuję coś lepszego, skoro mam zostać przez tydzień.

Nie ma więc twoim zdaniem sensu wykupowanie noclegów na cały pobyt?

Nie. Chyba że ktoś jedzie w sezonie, np. na karnawał do Rio, to wtedy tak, ale w innym przypadku nie ma to sensu. Można zaoszczędzić i znaleźć sobie coś lepszego.

W tych serwisach zwykle pojawiają się takie informacje: „Zostały już tylko trzy wolne pokoje”, „Tę ofertę ogląda 50 osób”. Jakie ty masz do tego podejście?

Zaprzyjaźniłem się raz z właścicielem i patrzyliśmy, jak u niego to wygląda na Booking.com. Jest to fajny serwis, ale bierze pod uwagę tylko te pokoje, które właściciel zgłosił. Może mieć do dyspozycji 10 pokoi, a wrzucił pięć. To tak działa, że na Booking.com wyskakuje informacja, że został jeden wolny pokój czy dwa, a tak naprawdę jest ich jeszcze siedem. Albo serwis nam mówi, że „w tym mieście 93% pokoi jest zajętych”. To dla nas sygnał, żeby bukować.

A to 93% bazy noclegowej dostępnej w tym serwisie, ale tych miejsc jest jednak więcej. A próbowałeś negocjować ceny? Co robiłeś, żeby nie przepłacać?

To proste: gdy kupowałem więcej noclegów, dostawałem prawie zawsze zniżkę, mówiąc, że robię to bezpośrednio. Booking.com pobiera prowizję – 15%, więc właściciele często z tej prowizji rezygnowali. Oczywiście taki serwis ma swój udział w tym, że w ogóle tam przyszliśmy, więc nie można go potępiać.

Zapłacić im trzeba oczywiście...

...szczególnie za te pierwsze noce. Często nocleg się znajdował od razu po drodze. Są takie miejsca, które nie są ogłaszane w serwisach internetowych. Ciągłe są takie tereny, gdzie nie dochodzi sieć komórkowa, które nie są online, więc albo Lonely Planet podaje wtedy listę dostępnych tam noclegów, szczególnie jeśli chodzi o Afrykę czy odludne regiony gór Azji, albo można się tego dowiedzieć od ludzi, którzy tam byli. Ważny jest zdrowy rozsądek. Nie ma co się trzymać jednej strategii. Nocleg zawsze się znajdzie, jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żebym nie miał gdzie spać. Raz czy dwa było to może w warunkach innych niż typowe.

Jakie nietypowe warunki przychodzą ci do głowy?

Znowu Botswana. Przyjechałem do miejscowości, gdzie był tylko jeden hotel w całej okolicy. Bardzo drogi – ponad 200 dolarów za dobę to, jak na moje standardy, zdecydowanie za dużo. Nie mogłem znaleźć czegoś innego, było zresztą ciemno, a miasteczko małe.

Twoja pozycja negocjacyjna osłabiała się z każdą godziną... [śmiech]

Poszedłem do taksówkarza i zapytałem, czy kończy już jeździć. Odpowiedział, że tak, więc zadałem mu drugie pytanie: czy za pięć dolarów będę mógł przespacerować się w jego samochodzie. Pojechaliśmy pod jego dom, on wszedł do środka, a ja spałem w taksówce.

Dobry sposób. Wspominałeś też, że w ciekawym miejscu spaliście na Bali. Niemal z Julią Roberts.

W domku sąsiadującym z domem Julii Roberts, który wystąpił w filmie *Jedz, módl się i kochaj*.

I to za nieduże pieniądze...

Tak, jest też serwis Airbnb.pl – ludzie zgłaszają tam domy na wynajem. Można to też zrobić, idąc ulicą i widząc ogłoszenie. Znaleźliśmy na Bali taki domek na polach ryżowych, z widokiem na wulkan, który akurat sąsiadował z domkiem tej aktorki, nawet turyści przyjeżdżali go oglądać. To tylko pokazuje, że to naprawdę piękna okolica, inaczej filmowcy by jej nie wybrali. To był prosty domek, ale w pełni funkcjonalny – z małym ogródkiem, kuchnią, dużą łazienką. Kosztował 50 zł za dobę. Lepsze warunki trudno sobie wyobrazić. Tim Ferriss napisał, że nie trzeba być milionerem, żeby mieszkać jak milioner. My tam wtedy po raz pierwszy pomyśleliśmy, że to prawda. Za pięć dych mieliśmy domek z bajecznym widokiem, w bajecznej krainie, gdzie żyją ciekawi ludzie, jest bezpiecznie, jest dobre jedzenie, piękny świat na ziemi i pod wodą (nurkowaliśmy też). Bali to w moim sercu miejsce wyjątkowe.

Coraz bardziej czuję wakacje i coraz większy apetyt mam na podróżowanie, gdy cię słucham. Ile przeciętnie wyniosły was noclegi z tych 250, które spędziliście w podróży?

Średnio: 33 zł na osobę. I od razu też powiem, że to nie jest tak, że spaliśmy najtaniej. Spaliśmy rozsądnie, a czasami wręcz nieprzyzwoicie luksusowo. 15 nocy spędziliśmy w hotelach cztero- i pięciogwiazdkowych, bo akurat zdarzyła się promocja. Mając do wyboru byle jaki hotel za 50 zł i pięciogwiazdkowy za 130 zł, mówiliśmy: „A co tam, raz pójdziemy”. Generalnie żyliśmy oszczędnie i rozsądnie, ale takie okazje też się zdarzają. Trzeba umieć szukać, znaleźć, być elastycznym, a nie zakładać, że tylko lokalnie albo tylko „pod gwiazdami”.

Jeszcze jedna rzecz mi się przypomniała: couchsurfing. Nie wiem, czy znasz...

Słyszałem o tym, ale opowiedz, bo masz na pewno większe doświadczenie.

Dla osób, które mają naprawdę mało pieniędzy, jest serwis Couchsurfing.com, czyli wymiana tapczanów. Zgłaszamy swoje lokum do bazy i ktoś może się zgłosić, że chciałby u nas przenocować za darmo, a my też możemy sobie coś takiego znaleźć w świecie.

Korzystałeś z takiej opcji?

Tak, testowo. Nie jestem zwolennikiem tego, bo to jednak zajmuje trochę czasu. Trzeba się skontaktować z gospodarzem, to jest jego dom prywatny, należy się umówić, co z kluczami, jak wejść, gdy jest już późno, jak wyjść rano. Ale jeśli ktoś będzie chciał zamieszkać tak jakiś czas, zakorzenić się w danej kulturze, to można. Ja korzystałem testowo z tego przez dwa tygodnie w Rwandzie i Burundi – mieszkałem

tam z pracownikami jakichś banków zagranicznych, ale to nie jest sposób na podróżowanie. Warto jednak spróbować.

No dobrze – jesteśmy na miejscu, wypaliśmy się i czas teraz coś przekąsić. Jak zaplanować posiłki? Co zrobić, żeby nie przepłacać, żeby smacznie zjeść i się nie zatruć? Jakie masz dla nas porady?

Pewnie nie ma recepty na cały świat ani nawet region Azji Południowo-Wschodniej. Tam króluje jedzenie uliczne, czyli *street food*. Jestem tego ogromnym zwolennikiem. Albo to są stragany, budki przy drodze, albo małe lokalne restauracje, w których jedzą tubylcy.

Pierwsze skojarzenie osoby, która nie miała okazji podróżować, będzie takie, że skoro to *street food*, to pewnie zaraz skończy się rewolucją żołądkową, więc apteczka musi być wypchana po brzegi.

Na pewno zdarzają się przypadki zatruć, ale mimo wszystko ja bym namawiał, żeby tego spróbować. Miałem np. doświadczenie sprzed dwóch lat, kiedy 26 osób z Polski poleciało na ślub na Borneo. Jedliśmy w różnych warunkach przeróżne *street foody* i nikomu nic się stało. Ale zawsze może się stać. Podczas tej podróży jeden raz moja dziewczyna się zatręła, trzy dni czuła się źle, byliśmy u lekarza i przeszło jej. To był jeden raz. Myślę, że nie ma co panikować. Jeżeli ktoś podchodzi do tego tak sterylnie i będzie się bał jeść cokolwiek podejrzanego w Polsce, to pewnie i w Azji tak będzie. Ja od lat przyzwyczajam organizm do różnych warunków i – odpukać – nigdy nic mi się nie przytrafiło.

Ile płaciliście za posiłki? W jakiej kwocie zamyka się wasz dzienny budżet na posiłki?

11 zł razem z napojami. I były dobre – czasami proste, czasami wykwintne. Można było zjeść znacznie taniej. Gdyby ktoś się zapał, to mógłby zjeść za 5–6 zł. Moim zdaniem nie ma jednak potrzeby aż tak oszczędzać. Chodzenie do marketów w Azji, robienie samemu kanapek wcale nie musi być tańsze od jedzenia na mieście. A ciekawie jest popróbować różnych rzeczy. Takie jedzenie w supermarketach i odgrzewanie dań gotowych sprawdza się w państwach drogich i bogatych, typu Szwajcaria czy kraje skandynawskie. Ale w Azji nie.

Marcin przygotował dla Was cały plik z różnego rodzaju poradami, który dołączymy w formacie PDF. Znajdziecie go w notatkach do tego odcinka podcastu, bo nie chciałbym w rozmowie bardzo szczegółowo przechodzić przez wszystkie pozycje, ale sami zobaczycie: jest tam tabela pokazująca, ile i za co Marcin zapłacił w ciągu tych 9 miesięcy.

Marcinie, dorzuć jeszcze na koniec kilka praktycznych porad, o czym warto pamiętać, gdy wybieramy się w dalekie podróże.

Mówiliśmy o jedzeniu: warto w danym miejscu przejść się po kilku sklepach, marketach i zobaczyć, jakie są ceny. Zauważymy wtedy, że np. w Azji owoce są bardzo tanie, a nabiał bardzo drogi. Pytanie, czy opłaca nam się kupić kawałek sera, bo lubimy, lub drogie truskawki czy jabłka, jeśli obok jest tanie mango. Warto sprawdzić, co na danym rynku opłaca się jeść i kupować. A potem odrzucić swoje przyzwyczajenia, np. że rano muszą zjeść chleb z serem i ogórkiem.

O tym już mówiłem, ale dla mnie to jest coś podstawowego, czyli lokalna karta SIM. Nie jestem zwolennikiem siedzenia cały czas w komórce, klikania na fejsie, zresztą nawet nie mam konta na Facebooku, co pewnie byłoby wizytówką podróżnika...

No właśnie, powinieneś wrzucać fotki ze wszystkich swoich przycód.

A nie mam żadnej strony ani fejsa... Niemniej po to jest ten drugi SIM, by móc nawigować i szukać drogi. Zapomnijcie o roamingu – to nigdy nie będzie tańsze niż lokalna karta SIM. A one są wszędzie. Jeżeli działały w Lesotho i Swazilandzie, a teraz nawet w Birnie, to wszędzie już chyba działają. Pewnie warto zadać w Google pytanie, czy przykładowo na Kubie już są – w każdym razie jest to rzecz przydatna.

Mówiłem też o skuterach. Skutery i Google Maps wystarczą, żeby swobodnie jeździć. My jeździliśmy po bardzo lokalnych drogach, drózkach, pewnie się nawet raz czy dwa zgubiliśmy, ale zaraz się odnaleźliśmy. Są oznaczone nawet małe wyspy na Mekongu, łącznie ze ścieżkami, po których można jeździć albo chodzić.

Czyli serwis Google Maps jest pomocny i aktualny nawet w najbardziej odległych rejonach świata.

Tak, na pewno są jakieś błędy, ale jeden błąd na tysiąc dobrych podpowiedzi mogę zaakceptować. Drugą ważną aplikacją jest MAPS.ME – o tyle lepsza, że nie trzeba do korzystania z niej mieć internetu, można być offline.

W notatkach do podcastu dodamy też linki do tych serwisów.

W artykule pisałem też o kartach bez przewalutowań.

Tak, Marcin bardzo szczegółowo opisał to, jakie karty bankowe ze sobą zabrać, aby bezsensownie nie przepłacać.

Patent na złodziei kieszonkowych, z którymi nie miałem do czynienia, ale zawsze człowiek spokojniej podróżuje, to agrafki. Kosztują może 50 gr. Trzymam dokumenty w kieszeni i wchodząc do publicznego transportu czy śpiąc tam, zapinam kieszenie na agrafki. Ktoś musiałby mnie napaść, żeby mi coś z takiej kieszeni wyjąć.

Zalecam jak najmniej pakować, o czym już mówiliśmy.

I opowiadałeś mi, żeby nie kupować wina w Etiopii.

Tak, to generalnie przestroga, żeby nie zadawać się ze zbyt atrakcyjnymi lokalnymi pięknosciami tudzież przystojnymi młodzieńcami – z punktu widzenia dziewczyn. Należy uważać, nie przesadzać z alkoholem, niczego nie palić.

Opowiesz o tej Etiopii?

Spacerowałem po Addis Abebie i spotkał mnie chłopak, który powiedział, że chce poćwiczyć angielski. Nic więcej. Było to podejrzane, ale rzeczywiście – rozmawialiśmy z pół godziny. W pewnym momencie powiedział, że musi już kończyć, bo idzie na imprezę studencką u jakiejś koleżanki. I jakbym chciał, to mogę pójść. Byłem ciekawy i poszedłem. Było faktycznie wielu różnych studentów i studentek, dostałem etiopską herbatę. Po jakimś czasie zostałem poproszony, żebym z okazji zakończenia roku akademickiego kupił wino. Zostałem sponsorem, poszli po dwie butelki wina, po czym okazało się, że kosztowały 200 zł.

Dobre wino.

Najpierw pomyślałem, że może to u nich jakiś rzadki trunek, ale to było najzwyklejsze wino za parę złotych. Rok później mój brat jechał przez Etiopię do Nairobi i spotkał studenta, który też szedł na imprezę [śmiech]. A był z kolegą, więc zapłacili odpowiednio więcej.

Nie bądźmy naiwni, nie kupujmy wina w Etiopii. W Kambodży nie kupujmy mleka w proszku dla matek z dzieckiem, bo oni z kolei mają taki sposób.

Wiele krajów ma swoje lokalne sposoby na wyciągnięcie pieniędzy od turystów. Przypomniała mi się historia z Indii. Idę przez Bombaj i nagle za ucho z tyłu pociągnął mnie człowiek. Pokazał kulkę na łyżeczce i powiedział: „Wyczyściłem ci ucho”. I chciał za to ileś tam rupii.

A to sposób, może by u nas w Polsce to wypróbować... [śmiech]

Nie mówię tego, żeby zniechęcić do Indii czy Etiopii. Chodzi o to, żeby zachować zdrowy rozsądek i mieć oczy otwarte. I nie chodzić na imprezy etiopskich studentów. Jest tyle ciekawych rzeczy do oglądania na utartych szlakach, więc po co gdzieś się pchać?

Marcinie, jakie masz kolejne plany podróżnicze i nie tylko?

Na razie chcę rozwijać swoją firmę. Daję sobie na to 3-4 lata, więc dłuższej podróży, takiej miniemerytury nie planuję. Chciałbym pojechać w przyszłym roku na Grenlandię na 2-3 tygodnie. To mi od dawna chodzi po głowie i myślę, że uda się ten wyjazd zorganizować.

Kiedyś mi mówiłeś, że odwiedziłeś kraje na wszystkich kontynentach z wyjątkiem Antarktydy. Ta Grenlandia to taki przedsmak?

Wprawdzie na drugiej półkuli, ale tak. Bardzo lubię kraje północne, Islandia to w ogóle kosmos. Byłem na Wyspach Owczych, na północy Norwegii, więc teraz ciągnie mnie na Grenlandię. A za te 3-4 lata, jak wszystko dobrze pójdzie i zależnie od tego, jak się życie rodzinne ułoży, to kolejna miniemerytura: albo Ameryka Południowa, albo Ameryka Północna. Na pewno będę podróżował. Nie słuchajcie więc podróżników, którzy muszą sprzedawać te lodówki albo udzielać się na wielkich festiwalach, albo – nie wiem – przejechać rowerem Andy, bo oni chyba bardziej deprymują, niż zachęcają. Ja tutaj zrobiłem ten „coming out”, bo pierwszy raz o tych podróżach mówię publicznie – nawet znajomi z pracy do końca nie wiedzieli. Chciałem zachęcić, pokazać, że jest to możliwe. To mówi normalny człowiek, który trochę testował na sobie wizyty w różnych krajach i rozwiązania. Jeżeli lubicie, to jeździjcie, a jeśli nie, to tego nie róbcie. Nikt nikogo nie zmusza. Ale koszty czy czas nie muszą Was ograniczać.

Ja uwielbiam podróżować, więc do mnie to przesłanie zdecydowanie trafia. Staram się konsekwentnie, rok po roku, realizować plany podróżnicze. Chociaż nie myślałem jeszcze o takiej miniemeryturze, więc nie ukrywam – zaintrygowało mnie to. Obiecałeś mi na koniec jeszcze anegdotę...

Jest ich dużo, gdy tyle się podróżuje. Wiele jest związanych z Afryką, bo to jednak inny kontynent. Chciałem opowiedzieć, jak Afrykańczycy patrzą na czas. Jest oczywiście znane powiedzenie: „pole, pole”, bo my mamy zegarki, a oni mają czas. To akurat był służbowy wyjazd do Sierra Leone. Zatrzymałem się w hotelu, a o dziewiątej miał mnie z niego odebrać kierowca. Jest dziewiąta – nie ma go. Wpół do dziesiątej – też nie. Przyjechał o dziesiątej i zaprasza mnie. Ja mówię, że późno jest, a on odpowiada: „Przepraszam, przyjechałem za późno, bo za późno wyjechałem”. Następnego dnia umówiliśmy się też na dziewiątą, a on już puka o ósmej i mówi: „Wczoraj byłem za późno, to dziś jestem wcześniej”.

Nie mówię tego, żeby się z nich naśmiewać, bo spędziłem tam na tyle długo czasu, że wiem, ile jest dobrego w tych ludziach i Afryce. Tylko nie mierzmy innych swoją miarą. Oprócz nas na świecie jest 7 mld ludzi, którzy myślą czasami podobnie, czasami inaczej. I inaczej patrzą na świat, więc trochę otwartości musimy mieć. Nie można tolerować zła, natomiast poczucie czasu, jedzenie, sposób modlitwy – to sprawa indywidualna. Podróże pokazują, jak ciekawy jest świat, ale też jak ciekawa i fajna jest Polska. Lubię podróżować, bardzo lubię, ale lubię też wracać.

I z tym pięknym przesłaniem Was zostawiam. Moim gościem był Marcin Zarzecki. Marcinie, dziękuję bardzo serdecznie za rozmowę.

Dziękuję, życzę wszystkim udanych wakacji i wszystkiego dobrego!

Człowiek, który kieruje się zdrowym rozsądkiem, skrupulatnie liczy, buduje swój biznes, realizuje marzenia, ale nie pozwala o sobie mówić „podróżnik”,

choć odwiedził 100 krajów. Dla mnie i tak jesteś podróżnikiem. Trzymajcie się, pozdrawiam Was bardzo serdecznie. Cześć!

Cześć!